

Kromlech

[sad][dark][fantasy]

Autor: Cahan

Korekta: Gandzia

Czas płynął nieubłaganie, zarówno dla Isleen, jak i otaczającego ją świata. Z dawnej urody kapłanki nie pozostało już nic, podobnie jak z jej życia, zaś góra Blathen już na zawsze miała pozostać martwa. Nowe drzewa wyrastały na miejsce starych, spalonych w pożarze, który miał miejsce dziesiątki lat temu. Jednak nikt ani nic nie było w stanie ożywić kamiennego kręgu, znajdującego się na szczycie wzniesienia.

Z kromlechem wiązało się wiele wspomnień kapłanki. To tu uczestniczyła w licznych obchodach świąt, najpierw jako obserwatorka, potem jako ich przewodnicząca. Tu poznawała tajniki magii i tu poznała swoją pierwszą i jedyną miłość. I to w tym miejscu się znajdowała, kiedy jej świat się skończył, a jej odmówiono prawa odejścia wraz z nim. Musiała błąkać się sama, pozbawiona wszystkiego, co najdroższe. Bogini zleciła jej misję, a Isleen już ją wykonała. Wszystko było oczywiste. Wszystko poza jednym – dlaczego wezwano ją właśnie tu?

Stara klacz nosiła szary płaszcz z kapturem, narzucony na długą, białą suknię. Nic sobie nie robiła z tego, że materiał brudził się i rozrywał, chciwie chwyтany przez gałęzie i leśną ściółkę. Bez większego wysiłku przedzierała się przez gęste krzaki, zaś strome podejście nie stanowiło dla niej najmniejszego problemu. Coś ją wołało, a ona czuła, że już nadszedł czas, by ostatni jednorozec starego świata wrócił do domu. Nie mogła ani nie chciała pozostać obojętną na tę prośbę. Starła się iść szybko, by jak najprędzej dotrzeć do celu.

Czekał na nią nikt i czekał na nią każdy. Śpiewały ptaki i bzyczały owady, ale i tak panowała cisza. Wiedziała że nie było tu żadnego kucyka poza nią, a mimo wszystko miała towarzystwo. Byli tu, martwi od dziesiątek lat, pozbawieni życia śmiercią gwałtowną i przedwczesną, czekali na jej powrót. Zaś ona pragnęła ponownego spotkania najmocniej na świecie.

Szybko natknęła się na pierwszego kościotrupa. Zmurszały szkielet pegaza intensywnie wpatrywał się w nią czernią oczodołów. Obdarzona Wiedzą skinęła łbem w geście pozdrowienia. Kimkolwiek był za życia, to niemal na pewno go znała albo chociaż on znał ją. Kościół Harmonii pogrzebałby swoich zmarłych, ten kuc musiał być jednym z nich, wyznawców Dawnych Bogów. Zwolniła kroku. Nie wróciła tu po tamtej nocy. Nie miała odwagi stawić czoła pamiątkom po swym największym koszmarze.

Nie było już współwyznawców kapłanki. Została tylko ona i jej uczniowie, rozsiani po całym świecie. Wielu z nich pewnie już nie żyło, a inni niechybnie zdążyli przekazać wiedzę dalej. Ukryci w cieniu, czekający, aż świat zapomni o mordowaniu każdego przejawu buntu wobec bóstwa zwanego Ładem, by w końcu wyjść z mroku, zrzucić okrycia i powiedzieć wszystkim, kim są. Ponownie czcić chwałę Dawnych Bogów w blasku ich umiłowanej gwiazdy – słońca. Jednak to już nie mogło być tym samym co kiedyś, minione dni nigdy nie wrócą, a wiele rzeczy zostanie zapomnianych.

Po pierwszym trupie szybko znalazła kolejne. Klacze, ogiery i źrebięta wszystkich trzech ras. Na poły zwęglone kości, często połamane. Porozrzucane niczym śmieci. Nowa wiara nie oszczędzała

nikogo, kto nie chciał ugiąć przed nią karku. Zaś świeckie władze sprzyjały Kościołowi, opierając na nim swe panowanie. Kucyki postanowiły zdeptać swoje dziedzictwo oraz własną naturę i udało się im. Wolały uważać się za władców świata, a nie za jego część. A tamtego dnia pogrzebały stary świat stałą i ogniem, od których nie dało się uciec. Śmierć przyszła na skrzydłach pegaza i na kopytach ziemskiego kuca. Zadała ją zwykła, bezmyślna nienawiść, cecha tak bliska wszystkim koniowatym.

Morze. Morze umarłych wśród krzewów, traw i paproci. Wystający z ziemi niby kamienie, zapomnieni przez wszystkich poza nią. Wciąż związani z tym miejscem, wciąż szepczący na wietrze. Budzili się wraz z nadchodzącą burzą. W taki zwyczajny dzień jak ten nie mogli bliżej dotknąć tego świata. Czekali tuż za zasłoną ciemności. Kryli się w czerni oczodołów, w cieniu pomiędzy drzewami i w najmroczniejszych zakątkach jej umysłu. Wspierali ją w podróży. Nie rozumiała wypowiedzianych słów, ale to nie było ważne. Dziś wszystko miało się zapętlić, koniec spotkać się z początkiem, a pewien rozdział raz na zawsze zostać zamkniętym.

Gdzieś w oddali błysnęła błyskawica. Chwilę później rozległ się donośny grzmot, zapowiadający rychłe nadejście nawałnicy. Jednorożec uniosła głowę ku niebu i uśmiechnęła się do ołowianych chmur. Ich masy zbliżały się coraz szybciej do wzniesienia. Na nosie poczuła pierwsze krople deszczu. Wiało coraz mocniej, a kołyszące się pożółkłe trawy odsłoniły jej prostą drogę na szczyt. Była już bardzo blisko. Dość, by dostrzec kromlech z dziewięciu megalitów – cel wędrówki kapłanki. Szarobrazowe głązy pozostały niezmienione, wciąż przypominając o wszystkim, co utraciła oraz o tym, co osiągnęła.

Ostatnie kroki przebyła bardzo powoli. Wicher niósł wycie. Krzyki mordujących. Krzyki mordowanych. Świst zwalnianej z cięciwy strzały. Tępy dźwięk podkutego stałą kopyta, roztrzaskującego czaszkę młodej klaczy. Łoskot walących się drzew i skwierczenie płonącego lasu.

Weszła w kamienny krąg i odrzuciła kaptur, odsłaniając starą, pomarszczoną i poparzoną twarz. Granatowa grzywa straciła swój blask, podobnie jak jasnożółta sierść. Tylko oczy były takie jak dawniej – młode i srebrzyste. Co ciekawe, i je utraciła, tyle zdołała odzyskać. Udało jej się oczyścić z żalu, nienawiści oraz ignorancji, nauczyć wszystkich zadanych lekcji i tylko dlatego mogła wrócić. Kiedyś cierpiała, dziś czuła jedynie spokój i miłość Bogini.

W środku kromlechu niegdyś płonęło ognisko, z którego ostały się pojedyncze kamienie, na dodatek porozrzucane po całym kręgu. Jednak nie to było ważne, lecz to, co leżało na miejscu paleniska. Isleen aż westchnęła ze zdumienia i przy pomocy swej magii natychmiast podniosła owe przedmioty. Aż za dobrze je знаła, bo dawno temu należały do niej. Wisior, triquetra i czarna opaska wysadzana kamieniami księżycowymi. Zgubiła je podczas szaleńczej ucieczki przez płonący las. Zawsze sądziła, że zostały zniszczone.

Ktoś musiał znaleźć je w popiołach puszczy i tutaj przynieść – tak podpowiadał zdrowy rozsądek. Nikt tego nie zrobił, bo nie było komu. Magia? Wątpliwe. To było Jej dzieło i Isleen czuła to. Ostatnia próba, ostatnia decyzja, ostatnia konfrontacja z samą sobą. Przedmioty zawierające w sobie tyle wspomnień, całą przeszłość kapłanki, część jej jestestwa. Nie wiedziała, czy podoła, ale skoro dano jej taką możliwość, to raczej nie bez powodu.

Triquetra, symbol pojednania z naturą. Pamiętała, jak jeszcze jako mała klaczka przysięgała żyć z nią w zgodzie i zawsze spełniać swoją Wolę. Pamiętała również, jak jako nieco większa klaczka,

a właściwie już klacz, pojęła w końcu, co to tak naprawdę znaczyło. Wtedy też zaczęła bardziej przykładać się do pewnych nauk. Jednak całą istotę równowagi poznawała przez całe swe życie.

Czarna opaska wysadzana kamieniami księżycowymi, znak godności przewodniczącej Kręgu. Funkcji polegającej na służeniu nauką, radą i inną pomocą oraz w obdarowywaniu prostych kuców łaskami Bogów.

Zdecydowała i po chwili wahania wisior ponownie zawisł na chudej szyi, zaś opaska znów leżała na grzywie, tuż za długim rogiem jednorożca. Odrzuciła płaszcz, w końcu przestał już być potrzebny. Czas nie miał znaczenia. Nic poza Nią nie miało znaczenia.

– Witaj ponownie, Isleen Srebronooka – rozległ się melodyjny, żeński głos.

Jak zawsze pojawiła się nie wiadomo skąd i nie wiadomo jak. Niezmienna w swej istocie. Wysoka, biała klacz alikorna o złotych oczach smoczy. Odziana w nocne niebo, z sierpem księżyca na czole. Była życiem i śmiercią, panią wszystkiego. Miała wiele imion i jeszcze więcej twarzy.

– Witaj, Pani – odpowiedziała żółta jednorożec. – Przybyłam na wyzwanie.

– Oczywiście, że przybyłaś. – Bogini uśmiechnęła się łagodnie.

– Już czas, prawda? – zapytała kapłanka.

Biała alikorn skinęła głową, po czym rzekła:

– Wypełniłaś swe zadanie. Doszłaś do końca swej drogi. Wiedz, że jestem z ciebie dumna i zawsze byłam. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w końcu spotkały się w jednym punkcie.

Zrozumiała. Zakończyła wszystkie etapy swojego życia. Najpierw była małą klaczką, dopiero poznającą, kim jest i niepewną niczego. Uczyła się tak długo, że w końcu sama przewodziła zgromadzeniu podczas święta Letniego Przesilenia. To wtedy znalazła swój kwiat paproci. I wtedy po raz pierwszy nosiła triquetrę oraz opaskę. Później zgubiła je, wchodząc w przyszłość pełną cieni. Aż w końcu pojęła ich istotę.

– Dziewica, matka i starucha? Jesteśmy każdą z nich?

Bogini przytaknęła i kopytem wskazała coś w dole. Jednorożec wychyliła się i nie dostrzegła niczego. Po chwili uzmysłowała sobie, że właśnie to chciała pokazać jej biała klacz. Wsie Agresty, Porzeczek i Snopki przestały istnieć. Zniknęły ze świata, podobnie jak otaczające je pola. Za to tam, gdzie niegdyś znajdowały się Jarzabki, wyrosło miasto.

– Co się stało? – zapytała Isleen.

– Las nie pozwolił im zająć wsi, ale tam dalej zdołali go odeprzeć. I zdobędą, nasz czas się skończył.

– Odchodzisz, Pani? – zdziwiła się kapłanka.

– I tak, i nie. Nie chcą mnie tu, nie chcą siebie samych. Ale po każdym dniu nadchodzi noc, a po nocy dzień. Przetrwamy noc i wrócimy, gdy nadejdzie czas. Kucyki muszą się jeszcze wiele nauczyć.

– Tak jak ja?

– Owszem. – Biała klacz skinęła łbem. – Kucyki są jak ogier, który nadużywa alkoholu i zapija się na śmierć. Walczą z naturą, bo ta przeszkadza im w ich destrukcyjnych zapędach. Ale koniec końców zabijają się sami, gdyż tak naprawdę nie wojują ze mną, lecz ze sobą.

– I wtedy powrócisz?

– Wyschną rzeki, zaleją ich morza, góry obrócą się w proch, a z nieba spadnie ogień. Przyroda stanie do walki przeciwko nim, a wtedy pojawią się godni. Tak, powrócę.

Isleen przemyślała słowa Bogini i doszła do wniosku, że ta ma rację, jak zawsze. Wszystko było cyklem, a kucyki nie mogły uciec od swej natury, ponieważ i ona jest ich częścią. Jednak pewna rzecz wciąż nie dawała jej spokoju.

– Dlaczego dopiero kiedy nauczyłam się wszystkiego, co ważne, to muszę odejść, zamiast się tym cieszyć? I czemu tyłu umiera, choć nie zdążyło znaleźć celu u kresu drogi?

Bogini uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Rozłożyła skrzydła i wzniosła się ku niebu czarnemu od deszczowych chmur. Padało coraz mocniej. Z rogu białej alikorn wystrzelił słup magii i uderzył w sklepienie nieboskłonu, skąd rozlał się niby woda z fontanny, otaczając cały kromlech jak kokon.

– Nie ma celu samego w sobie, tak naprawdę jest nim cała droga, jaką musimy przebyć.

Isleen poczuła, że się unosi, tak samo jak wtedy, kiedy Ona przejmowała jej ciało podczas gdy kapłanka reprezentowała ją w kręgu. W tym samym, w którym spotkały się tym razem.

– Twoja służba dobiegła już końca – oznajmiła biała klacz. – Jesteś gotowa?

Nie było to takie proste i przyjemne, jak zakładała od dnia, w którym ocalała z rzezi. Całe życie marzyła o śmierci jako o uldze w doczesności, a kiedy wreszcie miała nadejść, to Isleen zdała sobie sprawę, że byłaby w stanie żyć dalej bez bólu i wiecznej goryczy. Ale z drugiej strony wciąż tęskniła i wiedziała, że na tym świecie nie ma już miejsca dla takich jak ona, po prostu przyszła pora, by usunąć się w ciemność. Zresztą, alikorn wcale nie pytała.

– Mój czas już nadszedł – zdecydowała.

Bogini skinęła głową w geście, który zapewne miał oznaczać pożegnanie. Z jej oczu nie dało się odczytać żadnej emocji, jednak kapłankę cieszyła sama obecność istoty, którą uważała nie tylko za swą Panią, ale i za mentorkę oraz matkę.

Magia coraz bardziej wnikała w jej ciało, które odzyskiwało wszystko co utracone. Znikały blizny po oparzeniach, piętno lat minionych ustąpiło, zastąpione przez drugą młodość. Sierść i włosy odzyskały blask, w mięśnie wstąpiły nowe siły. Czuła radość, szczęście i miłość wszechrzeczy, wszystko to, z czym łączyła się podczas różnorodnych rytuałów. Białe światło przybierało na intensywności. Stara klacz zamknęła oczy.

Uderzył piorun. I to była ostatnia rzecz, jaką słyszała.

Otworzyła oczy. Wciąż znajdowała się w kamiennym kręgu. Na niebie świeciło słońce, łagodnie ogrzewając ciało kapłanki. Bogini gdzieś zniknęła i Isleen wątpiła, by miała ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Kłacz wyszła spomiędzy megalitów i spojrzała w dół. Zaraz za linią lasu rozciągały się pola, a wśród nich skryły się wsie. Z kominów leciał dym. Czuła intensywną woń kwiatów i żywicy drzew.

Jednak jednorożec nie skierowała się w stronę żadnej z osad, lecz w głąb lasu, tam, gdzie stał jej dom i tam, gdzie ktoś niechybnie na nią czekał.

Burza rozpętała się na dobre. Było ciemno niczym w środku nocy. Wiatr wył i szarpał pojedyncze drzewa. Deszcz zacinął. Zaś błyskawice raz za razem uderzały w kamienny kromlech na szczycie góry.